

Barbara Jasińska, Ryszard Jasiński

Agnieszka Rogaczewska-Foryś

Barbara: Do Poznania przywiodło mnie uczucie. Po prostu. Oczarował mnie chłopak i straciłam dla niego głowę. Zresztą został moim mężem i tak jest do dzisiaj.

Ryszard: Pamiętam pewien rajd pieszy – wędrowaliśmy w grupie młodych z Basią – obecnie moją wspaniętą żoną. Była gitara, śpiew i śmiech.

Agnieszka: Ktoś powiedział: „Rób to, co kochasz, a nie będziesz musiał pracować”. Marzyłam, by moje pasje przeniknęły też do życia zawodowego. I nadeszła sposobność. Założyłam własną firmę POMYSŁOWO – bo tak staram się żyć i pracować.

BARBARA

PRZYSTAWKA DO WSPOMNIENÍ

Wspomnienie wyraźne jak na fotografii: w pamięci utrwalony obraz czy może fragment krajobrazu i maj nieprawdopodobnie majowy. Świat pachnie, ptasie radio gra najlepsze kawałki – ciepło, wonnie, słonecznie, najpiękniej pięknie. Wiosna, wiosna, wiosna 1972 roku. Para dwudziestolatków rozłożyła się na ławce w parku naprzeciwko Collegium Novum. To ja i Włodek, mój przyjaciel. Mamy przerwę w zajęciach, coś czytamy – pewnie jakieś obowiązkowe lektury, teksty – a może biedzimy się nad staro-cerkiewno-słowiańskim? Jak to studenci polonistyki. Ale to tylko chwila. Maj nie pozwala na dłużej. Chłopak sięga po gitarę i śpiewa kawałek własnego tekstu. Ja mówię: „Nigdy nie mogę uchwycić tego początku stawania się wiosny, zawsze tylko jej wybuchanie nagłe”. Przed nami gmach uniwerku, obok „Miastoprojekt”, duma socjalistycznego budownictwa z nieodłącznymi hasłami typu: „naród z partią” (a dlaczego nie odwrotnie, jak pytał ktoś w kabarecie – chyba Pietrzaka). Na to nakłada się w pamięci inny neon mrugający napisem na poznańskich Ogrodach: „gościu weź klucze, zamieszkać w Poznaniu”. Ot jeszcze jeden absurd naszej peerelowskiej egzystencji, perfidia polegała na tym, że oficjalne zdobycie tzw. stałego zameldowania w Poznaniu, czy w każdym dużym mieście, graniczyło z cudem. Miasta, tak jak mieszkania, były reglamentowane. Ale wracam do parku i pięknych dwudziestoletnich sprzed lat ponad trzydziestu i w myślach kołaczą się słowa: „ta nasza młodość, ten

szczęsny czas, ta para skrzydeł zwiniętych w nas...”. I Poznań, który polubiłam, i w którym zakotwiczyłam się na życie.

PO ULICY WOLNYM KROKIEM MASZERUJE CZAS

To fragment wierszyka-piosenki o moim rodzinnym miasteczku. Stworzyłyśmy to dziełko z moją koleżanką w VII klasie. Brzmiało to tak: „jest miasteczko, co nad rzeczką wśród ogrodów śpi, monotonna w tym miasteczku upływają dni, dzień podobny do dnia, tydzień do tygodnia, po ulicy wolnym krokiem maszeruje czas”. Skończyłam podstawówkę i powędrowałam do innego urokliwego miasteczka na dalszą edukację. Liceum Pedagogiczne. Lubomierz. Pięć lat życia w internacie, w przysposobionym na ten cel budynku klasztornym. O siódmej rano budził nas przeraźliwy dźwięk gwizdka, to dyżurna (byłam nią wielokrotnie przez te lata) biegła przez labirynt korytarzy, a w celach budziły się z trudem nastolatki – przyszły kwiat wiejskiej pedagogiki wczesnoszkolnej, siłaczki lat 60. XX wieku! Zaspane biegłyśmy do wspólnej wielkiej umywalni, zmywałyśmy resztki snu z oczu zimną wodą. Śniadanie, klasztorna jadalnia, cieniutkie śniadanko i do szkoły, która była o krok. Po drodze spotykałyśmy chłopaków, wysypujących się z kilku pokoi męskiego internatu nad szkolną biblioteką. Było ich niewiele, męska część nie garnęła się jakoś do fachu nauczyciela.

Lubomierz to miasteczko filmowe. Byłam świadkiem kręcenia „Samych swoich”, nie mając pojęcia, że na moich oczach powstaje film – legenda, a po latach koleżanka z tej samej klasy stworzy muzeum Kargula i Pawlaka i festiwal komedii. Wiem, że w planach była jakaś scena z nami. W każdym razie w naszych obowiązkowych fartuchach szkolnych wędrowałyśmy główną ulicą miasteczka w dół, a ekipa filmowa kręciła tę scenę. Niestety nie ma jej w filmie, ale miałam wolny dzień, czy jakieś godziny, nasza szkoła brała udział w zdjęciach. Kiedy dzisiaj oglądam kolejny raz ten obraz S. Chęcińskiego, dostrzegam twarze ludzi – statystów, mieszkańców miasteczka. Tych, których już pewnie nie ma tu... i tych, którzy są teraz w moim wieku. Ot, chłopak zawadiaka, do którego wzdychała jedna z licealistek, z mojej klasy. Co z nimi? Pewnie ta klatka pamięci nigdy by się nie otworzyła, gdyby nie film. Dużo się działo w liceum. Do tej szkoły trafiali ludzie umuzykalnieni, był egzamin ze słuchu i głosu. Zatem śpiewaliśmy, tańczyliśmy, graliśmy w zespołach muzycznych, obowiązkowo uczyliśmy się grać na skrzypcach. Ja od podstawówki miałam inklinacje humanistyczno-artystyczne i tak mi zostało. Moja odyseja edukacyjna skończyła się w Poznaniu.

DLACZEGO POZNAŃ

Do Poznania przywiódło mnie uczucie. Po prostu. Oczarował mnie chłopak i straciłam dla niego głowę. Zresztą został moim mężem i tak jest do dzisiaj. Miałam studiować polonistykę na uniwerku wrocławskim – wtedy obowiązywała chyba rejonizacja – a ja mieszkałam w miasteczku na Dolnym Śląsku i odgórnie przypisana byłam do, pięknego skądinąd, Wrocławia. W ostatnim momencie mój chłopak, wówczas młody pracownik naukowy Akademii Ekonomicznej (a może to jeszcze była WSE), uruchomił swoje możliwości i pozwolono mi zdawać na UAM w Poznaniu.

Dlaczego polonistyka? Może dlatego, że nigdy nie umiałam liczyć. Dosłownie i przenośnie. Kto potrafi kalkulować, wybiera bardziej intratne studia – prawda? Ale kto potrafi tylko kalkulować, nie będzie na co dzień zanurzony w ojczyźnie polszczyźnie po uszy! A to prawdziwa frajda. Bywało, że ostatnie miedziaki zostawiało się w taksówce, by zdążyć na wykład – nie z obowiązku. Wśród wielu fantastycznych nauczycieli, dzięki którym literatura smakowała niebywale, byli: J. Abramowska, Z. Trojanowicz, E. Wiegandtowa, E. Balcerzan, J. Ziomek, S. Barańczak, T. Witczak, S. Mikołajczak, B. Walczak, L. Słowiński, E. Pieścikowski, J. Maciejewski, M. Hendrykowski i jeszcze mój opiekun roku, T. Pokrzywniak. Dzisiaj wszyscy z wysokimi tytułami naukowymi, ogromnym dorobkiem, znani i poważani. Jak oni mówili o książkach, języku, teatrze, filmie... Dzięki nim nabierałam przekonania, że moje studiowanie ma sens. I pomyśleć, że to było wczoraj, a dzisiaj rówieśnicy z mojego roku są już profesorami.

SZALONE LATA 1972–1976, JESTEM STUDENTKĄ

Przede wszystkim byłam z tego dumna. Wcale nie było łatwo dostać się na studia, przy dość ograniczonej ofercie – istniały tylko uczelnie państwowe. Obowiązywały wówczas dodatkowe punkty za pochodzenie społeczne. Za robotnicze i chłopskie dodawano bodaj pięć punktów. Rzeczywistość wokół była absurdalna, szara i byle jaka, co czułam bardziej intuicyjnie, nie mając pojęcia, że może być inaczej. Środowisko akademickie było jednak, wobec mizarii wokół, elitarną enklawą – intelektualną i kulturalną. Uniwersytet, biblioteki, kluby studenckie, akademiki, to miejsca, gdzie spotykali się w większości inteligentni, wrażliwi, zdolni ludzie. I to była prawdziwa wartość. Oprócz codziennych obowiązków studentki i egzaminów, które zdawałam w terminie, i to zupełnie nieźle, płynęłam na fali innych możliwości i propozycji, których dostarczało studiowanie w Poznaniu. Mnóstwo czasu przebywałam w bibliotekach i czytelniach: naszej

instytutowej, uniwersyteckiej, PTPN, Raczyńskich. Przy pisaniu magisterki sporo godzin spędziłam w Bibliotece Kórnickiej nad starodrukami. To był obowiązek, ale też ekscytujące doświadczenie dla każdego, kto kocha książki, a ich czytanie jest jego chlebem codziennym.

Byłam też przez moment studentką prawa na naszym uniwerku. A było tak. Na czwartym roku urodziła się możliwość studiowania „za porozumieniem stron”, tzn. wystarczyło mieć zgodę obu dziekanów i odpowiednio wysoką średnią ocen. Byłam zwolniona z przedmiotów, które zaliczyłam na polonistycę. Wspaniale! Spełniłam te warunki i poszłam na pierwsze zajęcia z prawa. Szybko się jednak poddałam, trochę mnie to nudziło, trochę przerażała logika. Na polonistycę zaliczyłam ją jakimś dziwnym zrządzeniem losu na piątkę, ale na prawie musiałabym zdawać egzamin. Opuściłam. No i oczywiście, imprezowałam. O tym jednak za moment.

PRZYJAŹNIE TAMTYCH LAT

Mieszkałam w akademiku „Jagienka” przy ulicy Obornickiej w Poznaniu przez dwa pierwsze lata studiów. Teren wokół jeszcze pustawy. Do uczelni i z powrotem dojeżdżałam autobusem numer 68. Pamiętam, jak w jakiś zimowy poranek czekaliśmy na przystanku z kolegą z roku, który na widok wielkiej ciężarówki na wąskiej wówczas ulicy wrzasnął: „Szerokiej drogi, kochanie!”. I nagle zaczęliśmy się tarzać ze śmiechu. Potem dołączyli pozostali, nie tylko studenci. I takie chóralne, przystankowe śmianie się mam w pamięci. Obiady jadałam w stołówce „Hanki” przy Stalingradzkiej, obecnie Alei Niepodległości. Kupowałam abonament na miesiąc. Na korytarzach akademików często słyszało się okrzyki: „Kupię obiad, sprzedam obiad”. Ot, taka ciekawostka obyczajowa.

Tak, z tamtych czasów pozostały znajomości i przyjaźnie do dzisiaj. W „Jagience” mieszkaliśmy w czwórkę, dwie rusycystki i dwie polonistki. Z jedną z nich jestem w zażyłości i przyjaźni. Z drugą, niezwykle ciekawą dziewczyną, poetką, pozostajemy w kontakcie. Przyjaźń tamtych lat to wspomniany już Włodek, chłopak, który grał na gitarze, pisał i śpiewał tak: „Po drugiej już letniej obuwia przecenie, palacze w kotłowniach przechodzą szkolenie. Już plany napięte i liście spadają, kochanki odchodzą, a żony zostają. To jesień panowie, już jesień, na lepsze nic zmienić nie chce się”. I jeszcze taki fragmencik: „Studentom zaczyna się semestr zimowy, kraj stanął w przededniu kolejnej odnowy”. I jeszcze cudowna Cecylia z tamtych lat do dzisiaj. I Gosia. Polubiłam ją i podziwiam za mądrość, bezpretensjonalność i wrażliwość. Osiągnęła tak wiele.

„Co się stało z naszą klasą?” Większość to nauczycielki, nauczyciele, dyrektorki, dyrektorzy szkół. Także profesorowie, jeden znany poseł, animatorzy kultury, twórcy i reżyserzy amatorskich teatrów, dziennikarze, wydawcy, podróżnicy.

ORGANIZACJE I KOSZYKÓWKA

Koszykówka, moja pasja jeszcze z liceum, nieodwzajemniona miłość do moich 160 centymetrów wzrostu. Miałam do niej talent, samozaparcie, ogólnie – dryg. Gra w kosza sprawiała mi ogromną przyjemność. W szkole średniej grałam w reprezentacji szkolnej i to z powodzeniem. Na zajęciach WF, obowiązkowych chyba przez dwa lata studiów, wybrałam oczywiście koszykówkę. Po jakimś czasie trener zaproponował mi treningi w reprezentacji uniwerku. Pobiegłam, a raczej pofrunęłam na pierwszy trening i to był również mój ostatni raz. Wyglądałam jak krasnoludek wśród pozostałych dziewczyn. Sama zdecydowałam, że to nie ma sensu. Jeszcze tenis stołowy, czyli popularny ping-pong. W tym byłam dobra, zajmowałam jakieś wysokie lokaty na szczeblu powiatowym, nie wiem, dlaczego nie bawiłam się tym na studiach. I jeszcze akrobatyka sportowa – też moje hobby.

Przynależność organizacyjna? Należałam do Zrzeszenia Studentów Polskich, chyba na drugim roku studiów, w 1973 roku, przekształconego w Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Dużo później dowiedziałam się o przyczynach tej decyzji. Po wydarzeniach marcowych w kierownictwie PZPR zapadła decyzja o likwidacji ZSP, jej wdrożenie odsunięto w czasie, aby roczniki studentów, które brały czynny udział w tych wydarzeniach, opuściły uczelnie. Poza tym chyba scalono wtedy ZSP, Związek Młodzieży Socjalistycznej i Związek Młodzieży Wiejskiej, istniejące na uczelni. Nie miałam bladego pojęcia o tym wszystkim i sądzę, że większość z braci studenckiej należała do SZSP, nie wiedząc, że jest to przybudówka PZPR. Powszechnie traktowano ją jako organizację socjalną, dającą jakieś profity, możliwość wyjazdów itp. Natomiast starałam się korzystać z oferty, najogólniej mówiąc, kulturalnej. Wiele imprez tamtych lat otwierało nasze umysły. I o tym chciałam wspomnieć parę.

KLUBY STUDENCKIE

Kultura studencka tamtych lat to osobny rozdział i można by o niej nieskończenie. Starałam się uczestniczyć w wydarzeniach stałych i jednorazowych. Wiem, że wiele wspomnień uleciało w niepamięć. Od czego mam zacząć? Może od klubów studenckich. Najbardziej znane, które najczęściej odwiedzałam

to: Cicibór, Akumulatory, Od Nowa (za moich czasów już w Zamku), Nurt, Aspirynka. Kluby studenckie tamtych lat miały, jak sądzę, charakter elitarny. To były takie wyspy kultury. Wejście umożliwiała ważna legitymacja studencka. Dawało się to czasem ominąć, ale raczej przestrzegano tej zasady. Po latach zastanawiałam się, że pewnie władzy było to na rękę, wołała izolować „studen-cików” od pozostałej młodzieży, by razem nie wymyślili jakiegoś sposobu na system. Poza tym w klubach słuchało się tekstów, oglądało spektakle, filmy itp., które nie były dopuszczone do oficjalnego obiegu, których nie udostępniano powszechnie. Kluby studenckie to była niszowa część oficjalnej kultury. Zgadzam się z opinią, że władza traktowała je jak coś w rodzaju wentylu – niech tam sobie studenci pohalaszują, to nie będą groźni.

Nieważne, istotne dla mnie jest to, że były to miejsca, w których zobaczyłam i usłyszałam Jonasza Koftę (i to powiedzenie, że z młodych gniewnych rosną starzy wkurzeni... bardziej dosadnie), liryczną Magdę Umer, satyryczną Ewę Złotowską, Maćka Zembatego. W klubie „Pod maskami” widziałam legendarną prapremierę „Operetki” W. Gombrowicza. Spektakl wystawiony przez studencki teatr Nurt. J. Nyczak, który reżyserował sztukę, otrzymał jej tekst za pośrednictwem środowiska paryskiej „Kultury”. To wiadomość od aktora, który grał w tym przedstawieniu. Reżyser musiał mieć zgodę żony Gombrowicza obwarowaną zaleceniami. Należy pamiętać, że Gombrowicz był długo „na indeksie”, jego książki nie wydawano w kraju. W chwili poznańskiej prapremiery niektórych jego utworów (chyba większości) nie publikowano w naszym ludowym państwie. Myślę, że cenzura i zapewne inne okoliczności sprawiły, że „Operetka” w tej wersji pokazywana była krótko. Bardzo się cieszę, że doświadczyłam czegoś tak unikalnego. Wrażenia były mocne: pamiętam miejsce w sali, obrazy, śpiew, ruch sceniczny, choreografię, twarze niektórych aktorów i kulminacyjną scenę „nagiej Prawdy”, wyłaniającej się z trumny w postaci Albertynki.

Jest to też karta wspomnień o amatorskim teatrze studenckim. Jak wiele zrobił, jak wiele znaczył, jak młodym ludziom „chciało się chcieć” tworzyć, a innym „chciało się chcieć” z tego korzystać! Wszystko to uczyło mnie dystansu, uważniejszego obserwowania rzeczywistości, wyciągania wniosków, samodzielności myślenia. Poza tym w klubach można było posłuchać dobrej muzyki na koncertach czy, nazwijmy to tak, ówczesnych dyskotekach. Szaleliśmy do końca imprezy przy muzyce tamtych lat, rockowo i nie tylko. Bardzo bliska była mi piosenka poetycka. Mam spory zbiór płyt analogowych. Na jednej Ewa Demarczyk, na innej Wanda Warska. Mój przyjaciel ze studiów, próbując się dostać

na koncert Demarczyk przez okno, bez biletu, został zwinięty przez milicję. Oberwał zdrowo i noc przesiedział w areszcie, opowiadając barwne kawałki ze swojego rzekomo przestępczego życia współtowarzyszom z celi. I oczywiście kabaret Tey z Zenkiem Laskowikiem i Bogdanem Smoleniem. Biegaliśmy na Woźną regularnie, zachwyceni strawą, którą nam serwowali z małej sceny. Nie wymienię wszystkich atrakcji, ale nie o to chodzi. Myślę, że nasza rozmowa ma na celu odtworzyć klimat tamtych lat, ocalić coś od zapomnienia.

TEATR I FILM

Ważne rozdziały w moim studenckim bytowaniu. Oczywiście teatr alternatywny, jak Teatr Ósmego Dnia. Również teatr Akupunktura – mam nadzieję, że nie pomyliłam nazwy. Kolega z roku, który mnie pewnie nie pamięta, bo krótko z nami studiował, był jego pomysłodawcą. Mam nadzieję, że nic nie przekręcą. Na pewno jakiś spektakl odbył się w Ciciborze, inny na basenie przy Chwiałkowskiego. Opowiadano legendy o tym działaniu. Żałuję, że nie byłam osobiście na pokazie. Stchórzyłam, bo opowiadano, że widz jest tam też aktorem, a obowiązuje strój w rodzaju krótkich tuniczek i... nic pod spodem. I pomyśleć, że teraz mniej bym się wzbraniała! Zresztą nie wiem, ile w tym prawdy. Swoją drogą w Ciciborze, podczas spektaklu, interweniowała milicja. Reżyser gdzieś zniknął i nie miałam okazji nigdy powiedzieć mu, że opiekunka naszego roku, dzisiaj pani profesor o dużym autorytecie, była zainteresowana jego losem i kiedy skonstatowała, że przestał być studentem, powiedziała: „Szkoda, to zdolny młody człowiek”.

Wracam do tematu. Pamiętam wyjazd części naszej grupy do teatru J. Grotowskiego „Laboratorium” do Wrocławia oraz na słynną „Balladynę” w Teatrze Narodowym A. Hanuszkiewicza. Młoda Bożena Dykiel pruća na motocyklu firmy Honda, obok niej Skierka i Chochlik. Hałas był niesamowity, motocykle lśniły. Spektakl był głośny i dyskutowany, a ja go zapamiętałam dla tych motorów i gadania o nim w pociągu z Warszawy do Poznania. Nie pamiętam, kto był inicjatorem tych kulturalnych wypadów, ale dzięki za nie.

Film to studenckie DKF-y. Poprzedzone prelekcjami, najczęściej znakomitymi, kończone dyskusjami. To był świetny pomysł kształcenia, rozbudzania zainteresowania dobrym kinem. Mogliśmy oglądać filmy ambitne, często takie, których nie było na ekranach polskich kin. Zajmowali się tym nasi rówieśnicy i chwalała im za to. Podobnie sprawa miała się z tzw. „konfrontacjami filmowymi”. Nawet teraz nie umiem podać pełnej nazwy. Impreza trwała chyba tydzień

i odbywał się raz w roku. Można było na niej zobaczyć najnowsze kino światowe. Dzisiaj może to brzmi dziwnie i niezrozumiale. Nie starcza czasu, by obejrzeć wszystko, bo produkcja goni następną. W PRL serwowano nam ochoczo kino z krajów bloku socjalistycznego i nasze ocenzone kawałki. Zatem zdobywałam bilety na konfrontację i miałam jakieś wyobrażenie, co w trawie piszczy.

EDWARD STACHURA

Idol moich studenckich lat. Jego poezja, piosenki, choć przefiltrowane przez czas, nadal są bliskie mojej wrażliwości i upodobaniom. Stachura stał się wtedy modny i popularny, w tym dobrym rozumieniu i znaczeniu. W Teatrze Nowym dużym powodzeniem cieszyła się sztuka oparta na tekstach Stachury do muzyki J. Satanowskiego, który kończył polonistykę kilka lat przede mną. Byłam na tym spektaklu trzykrotnie i nie obchodziły mnie opinie krytyków – wsłuchiwałam się oczarowana. Śpiewał też Jacek Różański.

O Stachurze usłyszałam dużo wcześniej dzięki Włodkowi. On odwiedzał matkę poety, poznawał przyjaciół, wędrował jego śladami, znał go osobiście, nagrał jego śpiew i wypowiedzi na jakimś prywatnym spotkaniu. Słyszałam to nagranie – chropawe, pełne trzasków. Czy się to przechowało? Nigdy się nie dowiem, bo Włodek odpłynął już z Białą Lokomotywą – nagle i nieubłagannie, i nieodwracalnie. Po latach poznałam Elę, bratanicę Stachury. Tak sobie pracowałyśmy dość długo razem i nagle ta wiadomość, i jego grafiki na ścianie jej mieszkania.

ZAJRZELI DO KUFRÓW, ZAJRZELI DO WALIZ

Trochę o podróżach. Pokolenie współczesnych młodych ludzi, kiedy świat jest dla nich dostępny na wyciągnięcie ręki, nie może mieć pojęcia, jakich akrobacji dokonywało się w związku z planowanym i realizowanym wyjazdem. Czy dostanę paszport deponowany w biurze paszportowym? Obowiązkowo należało go zwrócić chyba w ciągu tygodnia po powrocie, spóźnienie groziło konsekwencjami. Dalej: zdobycie waluty – tu też obowiązywały jakieś mizerne limity, można ją było nabyć u cinkciarza lub innymi drogami, ale na granicy traktowano to jak przemyt. Kwestia aprowizacji niemal we wszystko, by nie wydawać dewiz – gromadzenie tych dóbr zaczynało się miesiące przed wyjazdem ze względu na niedobór ogólny. Szmuglowanie jakiegoś kryształu lub perfum „Być może”, nabywanych w kioskach „Ruchu” celem sprezentowania, jeśli miało się do kogo jechać lub „zahandlowania”, by jakoś przeżyć i coś zobaczyć. Te

emocje na granicy – uda się czy nie? Te Polaków rozmowy przed granicą i tuż po jej przekroczeniu.

Kierunkiem naszych podróży były głównie „bratnie kraje”: ZSRR, Bułgaria, NRD itp. A tam lepiej nie było. Odwrotnie – po powrocie, wydawało mi się, że Polska Ludowa to wyspa wolności. Zresztą wyjazdy w tamtych czasach podlegały ścisłym limitom. Pamiętam, że NRD postrzegałam jako krainę obfitości – tyle tam dóbr materialnych mogłam nabyć niedostępnych lub reglamentowanych u nas. Jugosławia natomiast to był dla mnie synonim luksusu i Zachodu. Dzięki mojemu Rysiovi w czasach studenckich zwiedziłam te miejsca. RFN to był pierwszy kraj nie z „demoludów”. Wrażenie wywarł piorunujące. Myślałam, że to sen. Z rozmów z innymi wiem, że nie byłam odosobniona w reakcji. Zachwycały mnie nawet kiczowate plakaty reklamowe – myślę, że poraził mnie kolor. Jeszcze zapach czystości i dobrych perfum. Toalety publiczne jak salony. Dzisiaj to widzę inaczej, ale w latach siedemdziesiątych...

FESTIWAL PIOSENKI PRAWDZIWEJ

Chcę zastrzec, że nie pamiętam szczegółów, ale znalazłam się chyba w 1981 roku na poznańskim przeglądzie piosenki prawdziwej w szkole muzycznej przy ulicy Solnej w Poznaniu. Byłam już po studiach, zachłystywałam się krótką chwilą przedsmaku wolności i niezależności, sercem i duszą po stronie tych, co o nie walczyli. Być może pomyliłam rok czy nazwę, ale byłam i słuchałam zakazanych piosenek i tekstów, więc nie jest to imaginacja. Na deskach auli szkolnej występował Włodek, wspomniany na początku przyjaciel, który był bardem. Chodniki polskich miast zamieniał czasem na paryskie i inne brukie. Tak zarabiał na chleb – wierny sobie do końca. Do dzisiaj brzmia mi w uszach śpiewane przez niego słowa: „Popatrz stary wokół nas, baloników wyrósł las, różowiotkie i tłusciutki, ktoś je dmuchał z dobrym skutkiem, a ja szpilką, no i plask. Telewizor marki Paw dłonie składa nam do braw, chociaż cena jest nowością, naród przyjął to z godnością, tak jak kilka innych spraw”.

Pamięć wybiera, co chce, czasem zmienia obrazy, podpowiada, zwodzi – więc być może coś pokręciłam w słowach. Pamiętam jednak tę atmosferę, to zachłanne wsłuchiwanie się w słowa, które ukryte były w podziemiu jako nieprawomyślne i nagle tak sobie płynęły ze sceny. A przecież to było jeszcze przed stanem wojennym, cenzura funkcjonowała normalnie, strajki to były nieuzasadnione przerwy w pracy, organizowane przez wicherzycieli, wrogów państwa i socjalizmu – jak donosiły jedynie słuszne media. Drzwi do demokracji, wolności, były zaledwie

uchylone i za chwilę miały zamknąć się z trzaskiem. Jaruzelski i jego ekipa nie lubili przeciągów. I znowu okazało się, że słowo ma ogromną moc. Kiedy o tym myślę, uświadamiam sobie, jak wielu ludzi krzywdzono, straszono, mordowano w Polsce Ludowej. I tę rozpacz wieloletnią, bezradność ich bliskich, którzy musieli o tym milczeć. Te słowa, teksty wydobyte na powierzchnię z szuflad, czy napisane aktualnie, były też dla nich.

CO ZOSTAŁO Z TYCH LAT?

Chciałam zajmować się dziennikarstwem radiowym. Bliski mi był reportaż literacki. Czy jednak dobrze czułabym się z tym pod okiem cenzora? Moja niepokorna natura, silne poczucie niezależności, niechęć do systemu, w którym królował absurd, wykluczały tę perspektywę. Kusiła mnie też pedagogika – jestem przecież absolwentką liceum pedagogicznego. Pewnie byłabym dzisiaj utytułowanym pracownikiem naukowym. Dzisiaj wybrałabym bohemistykę, zafascynowana narodem i kulturą czeską. Może połączyłabym dwa kierunki? Mimo wszystko czuję się spełniona. Uczyłam w szkole średniej języka polskiego. Do kosza trafiam jeszcze nieźle i mężowi dokładałam w ping-ponga. Z filmem jestem za pan brat do dzisiaj.

Chyba od 20 lat jeżdżę na Ińskie Lato Filmowe, zachwycona niezmiennie miasteczkiem, jeziorem, ludźmi i repertuarem. Najpierw z rodziną, ostatnio z Marysieńką, moją kuzynko-siostrą. Uwielbiam jej towarzystwo. Właśnie tam każdego roku spotykam Cecylię i jej rodzinę. Ona też przyjeżdża tam od wielu lat. Gadamy bez końca. Oglądam czasem cztery filmy dziennie, a dawka emocji jest taka, że trzeba je odreagować w burzliwych dyskusjach w „pięknych okolicznościach przyrody”. A ogród pani Mirki, u której mieszkamy od lat, jest rajski. Jej sąsiadki również. O Ińsku można by snuć niekończące się opowieści. Spotykam tam aktorki, aktorów, reżyserów, krytyków filmowych, filmoznawców i miłośników, pasjonatów dobrego kina, pisarzy, dziennikarzy. Pamiętam, jak Ewa Kasprzyk pokazała swoją „Patty Diphusa” na scenie dusznego, jeszcze chyba niewyremontowanego kina. Trzeba mieć klasę, a ona ma.

Co jeszcze? Odkryłam przyjemność uczenia się języków obcych. Udoskonaliłam pływanie. Chodzę na zajęcia z literatury i z niecierpliwością czekam na ten dzień tygodnia, bo profesor odkrywa takie znaczenia i odczytania książki, że nieruchomieję. To wszystko w dojrzałym wieku. Mam świetną rodzinę. Męża jedynego od wielu, wielu lat. Córki wspaniałe. Zięcia marzenie, właściwie syna. Wnuczki cudowne. Co chciałabym im powiedzieć? Może słowa poety: „Moż-

na być w kropli ciszy światów odkrywczą... Można wędrując dookoła świata przeoczyć wszystko”.

DZIĘKUJĘ

Agnieszce za wysłuchanie i inspirację. Jej osiągnięcia, poszukiwania, wrażliwość na drugiego człowieka oszałamiają i budzą szacunek. Dają też nadzieję, że świat będzie lepszy dzięki młodym ludziom. Większość z nich jest świetna. Wiem, co mówię, bo wiele lat pracowałam z nastolatkami, potem moje córki dorastały, obserwowałam ich przyjaciół. Serce rośnie. Życzę im z całego serca, żeby realizowali swoje marzenia, pasje i byli szczęśliwi.

Opowiadała, spisała i zredagowała: *Barbara Jasińska*
Wysłuchali: *Agnieszka Rogaczewska-Foryś* i *Ryszard Jasiński*

RYSZARD

JEŚLI NIE WARSZAWA, TO POZNAŃ

Poznań znajduje się w pół drogi ze Złocieńca w koszalińskim, gdzie kończyłem szkołę średnią, do rodzinnych stron, małej miejscowości nieopodal Siedlec. Mokobody wtedy to była duża wieś, z której wyruszyłem jako trzynastolatek podbijać świat – no, powiedzmy, że na początku może nie świat, a kawałek polskiej, zapyziałej, swojskiej, ale krajobrazowo pięknej prowincji. Właściwie o wyborze technikum ekonomicznego zdecydowali rodzice. Względy były czysto praktyczne: dobry fach i internat.

Zatem Złocieniec, bo pobliski Mińsk Mazowiecki nie oferował takich warunków. I tak znalazłem się w odległości ponad 600 kilometrów od domu, którą pokonywałem tylko trzy razy w roku: na oba święta i na wakacje. Zdarzało się, że jak Jaś wędrowniczek szedłem piechotą 16 km z Siedlec do domu, bo ostatni – jak się wtedy mówiło – „pekaes” właśnie odjechał. Autobusy marki Jelcz utożsamiono z jedyną wtedy chyba państwową komunikacją. Podobnie zresztą postrzegano samochody osobowe, których w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku nie było wiele. Pamiętam, jak 92-letni dzisiaj wujek mojej żony mówił z podziwem o kimś, kto właśnie nabył „Syrenkę”: „Kupił taksówkę”. Wracając do moich marszów: szedłem wówczas pieszo, niosąc walizkę z tektury przewiązaną paskiem (która po czterdziestu latach powędrowała z nami jako eksponat na bal Akademickiego Klubu Seniora).

Po technikum myślałem o studiowaniu handlu zagranicznego, ale w tym czasie było to możliwe tylko w Warszawie w SGPiS (Szkoła Główna Planowania i Statystyki, obecnie Szkoła Główna Handlowa). Kierunek ten był wówczas nobilitujący – tak jak nazwa pachniał bowiem wielkim światem, zagranicą, i dlatego panowała tam ogromna konkurencja. Obawiałem się, że moje średnie, techniczne, złocienieckie wykształcenie to za mało, więc wybrałem towaroznawstwo w poznańskiej Wyższej Szkole Ekonomicznej (dzisiejszy Uniwersytet Ekonomiczny). Miałem szczęście, że nauczyciel chemii w technikum, absolwent poznańskiego właśnie towaroznawstwa, bardzo dobrze mnie przygotował, więc egzaminy na studia oraz te w trakcie studiów zdawałem bez problemu, czasami nawet lepiej niż absolwenci technikum chemicznego. Rok później Handel Zagraniczny został też uruchomiony w Poznaniu, ale ja już byłem zadowolonym studentem towaroznawstwa.

STUDIUJE, PRACUJE, REALIZUJĘ SWOJE PASJE

Egzaminy szły mi świetnie, czego dowodem oceny w późniejszym indeksie i otrzymane stypendium naukowe, co otworzyło mi drogę do pozostania w uczelni, uzyskania asystentury i rozpoczęcia pracy naukowo-dydaktycznej. W tamtym okresie procedura uzyskania etatu była inna: teoretycznie najlepsi studenci mogli ubiegać się o etat, a doktorat „robiło się”, będąc zatrudnionym jako asystent. Wychodzi na to, że i na Handlu Zagranicznym też bym dał sobie radę, ale obawiałem się, że moje przygotowanie, zwłaszcza językowe, okaże się niedostateczne i przyznam, że języki faktycznie musiałem sobie doszlifować.

Zostałem przewodniczącym sekcji języka niemieckiego Klubu Pilotów Wycieczek Zagranicznych BPiT Almatu, w ramach której urządziłem domowe spotkania w tym języku dla członków sekcji, jako szkolenia doskonalące język. Tę działalność społeczną rozwijałem dalej jako Prezes Klubu Pilotów Wycieczek Zagranicznych w Poznaniu i jako Wiceprzewodniczący Ogólnopolskiej Rady ds. Pilotów Wycieczek Zagranicznych. Prace te zaowocowały uznaniem naszych uprawnień pilockich przez „Orbis”, rozszerzeniem turystyki kwalifikowanej i zagranicznych wyjazdów trampingowych oraz wprowadzeniem autobusowych połączeń zagranicznych, tzw. „almabusów”, które kursują obecnie powszechnie i to po całej Europie – wtedy była to akcja wakacyjna tylko dla studentów.

Później, pracując w uczelni jako młody naukowiec i dydaktyk, wykorzystywałem znajomość języków, by sięgać do źródeł obcojęzycznych, publikować w języku obcym czy uczestniczyć w konferencjach międzynarodowych. Mówię

o tym w dobie, kiedy znajomość angielskiego jest tak oczywista jak znajomość alfabetu, a młodzi ludzie są często poliglotami. Ale wtedy umiejętność dobrego posługiwania się językiem obcym innym niż rosyjski to była rzeczywiście wyższa szkoła jazdy i nawet pracownicy uczelnianej kadry, biegle władający językiem obcym, stanowili naprawdę nieliczną grupę. Niedawno byłem świadkiem zabawnej sytuacji. Starszy pan zapytany, czy mówi po angielsku, odpowiedział: „No, I don’t”. I z powagą dodał: „Bo my wszyscy w Polsce należeliśmy obowiązkowo do klasy z profilem rozszerzonego języka rosyjskiego”.

DUCH SPOŁECZNIKOWSKI

Na studiach mnóstwo się działo. Byłem niespokojnym duchem. Organizowałem wiele imprez, spotkań i wypadów turystycznych w różne okolice. Pamiętam pewien rajd pieszy – wędrowaliśmy w grupie młodych z Basią – obecnie moją wspaniałą żoną. Była gitara, śpiew i śmiech. Koniec wędrowki zwieńczył występ Giny, mojej studentki (byłem może tylko o rok lub dwa lata od niej starszy). Przepięknie zaśpiewała i Basia do dziś wspomina jej głos i niebywałe wykonanie „El condor pasa”. A przecież warunki były polowe, sprzęt pożal się Boże, śpiew na żywo. Pozdrawiam Ginę, jeśli to kiedyś jakimś trafem przeczyta.

Na studiach byłem przewodniczącym komitetu członkowskiego, a później sekretarzem rady międzyuczelnianej spółdzielni „Akademik”, w ramach której prowadziliśmy działalność społeczną, polegającą między innymi na organizowaniu wielu akcji, wyjść do teatru, do opery, rajdów itp. Gdy znalazłem się w prezydium Rady Uczelnianej ZSP przy WSE, zacząłem też różne działania związane z moimi zainteresowaniami: zrobiłem kurs pilotów wycieczek zagranicznych, wspinałem się, byłem speleologiem, a także, zdobywszy uprzednio niezbędne uprawnienia, sędziowałem mecze siatkówki. Przeżyciem była pierwsza wyprawa eksplorująca drugą pod względem wielkości jaskinię w Polsce: „Bańdzioch” – jako speleolog i grotolaz znalazłem się w pierwszej czwórce atakującej. Więc było tego sporo: speleologia, działalność turystyczna, kulturalna, rozrywkowa, sportowa, pilotowanie grup polskich i zagranicznych i praca społeczna na rzecz spółdzielni „Akademik” i „Almaturu”.

SPÓDZIELNIA – PRACA I RADOŚĆ

Spółdzielnia „Akademik” była instytucją służącą zakom, dając im pracę i tym samym szansę na podreperowanie budżetu. Niektórzy zarabiali tam fortuny, jak na studenckie możliwości. Przyjmowano zlecenia od osób prywatnych i instytucji.

Były to najrozmaitsze prace porządkowe: cyklinowanie podłóg, rozbiórki, przeprowadzki, wyładunki i przeładunki, np. wagonów z węglem. Czasem zdarzały się i bardziej „ambitne” prace biurowe. Często zleceń było mniej niż chętnych. Rano, zwykle już o szóstej, stawało się w SSP „Akademik” w kolejce, Pani Irena wyczytywała rodzaj zapotrzebowania, wybierało się zlecenie i do roboty! Z pieśnią na ustach! Zarobek ten dawał nam również możliwość... imprezowania.

Jedną z bardziej opłacalnych prac było mycie okien, zwłaszcza w halach. Płacono za metr kwadratowy szyby, a stawki były naprawdę bardzo sensowne. Niezła też była stawka za przenoszenie jakiegoś ciężaru na odległość tak zwanej strefy. Jedna strefa obejmowała chyba tylko dwadzieścia metrów. I wymyślaliśmy różne sposoby sprytnego zarobienia pieniędzy w oparciu o te strefy. Pamiętam, jak koledzy przetransportowali żeliwny piec z Górczyna na Winogrody. Stawka wyglądała na kiepską, bo płacili za tonę, a to było tylko jakieś ćwierć tony czy nawet mniej, co dawało z dziesięć złotych. Ale chłopcy wsadzili piec do tramwaju i hulaj dusza, wyszło im pięćset stref razy dziesięć złotych, i się obłowili. Z ciekawostek obyczajowych: znałem studentkę, która po starannym umyciu okien w mieszkaniu jakiejś poznańskiej damulki, usłyszała, że nie otrzyma zapłaty za dwie strony szyb. Dziewczę ze spokojem wzięła do ręki brudną szmatę i rzekło: „Dobrze, w takim razie ja tę drugą stronę doprowadzę do stanu, w jakim były przed myciem”. Paniusia bez szemrania podpisała zlecenie.

Byłem zarówno wykonawcą prac zleconych, jak i działaczem tej spółdzielni. Spółdzielnię zarządzał prezes, a Rada Spółdzielni, której zostałem sekretarzem, ustanawiała przepisy prawne i wytyczała kierunki działalności, np. jakie rodzaje usług rozwijać: czy rolnicze, czy techniczne, inżynierskie, inwentaryzacyjne, elektryczne – oferowaliśmy dużo różnych wyspecjalizowanych usług. Były też korepetycje i opieka nad dziećmi. Robiło się też za Mikołaja. Ludzie przebrani za banany jako reklama jeszcze po ulicach nie chodzili. Zresztą takie akcje mogłyby zostać uznane za prowokację polityczną wobec permanentnego braku bananów na rynku. I tu dygresja – banany były takim rarytasem, że nasze dzieci na zajęczka znajdowały je ukryte w różnych miejscach pracowniczego ogródka działkowego. Przywiezione z bogatego RFN banany wisiały na jabłoniach, gruszkach i śliwach.

Praca społeczna, którą wykonywałem, polegała na organizowaniu i wydawaniu funduszu socjalnego, jaki był tworzony w spółdzielni. Budżet przeznaczaliśmy na różnego rodzaju akcje typu wyjście do opery, teatru, zakupy biletów na imprezy estradowe, bo to wtedy było bardzo popularne. Wystarczyło złożyć akces przystą-

pienia, by zostać członkiem spółdzielni, otrzymywać zlecenia i korzystać z tych atrakcji. W ramach działalności istniały również takie inicjatywy jak budowanie boisk. To my budowaliśmy na przykład studenckie boiska na Winogradach między blokami, które obecnie jeszcze służą studentom. A to członkowie naszej spółdzielni tam wtedy społecznie pracowali. Gdy przywieziono tłuczoną cegłę, chodziliśmy w akademikach od pokoju do pokoju, prosząc o pomoc w pracach. Chętnych nigdy nie brakowało.

PODRÓŻE RÓŻNE

Moja żyłka społecznika przejawiała się też w działaniach w „Almaturze”. Specjalizowałem się w pilotowaniu wycieczek zagranicznych w Polsce. W tamtych czasach trudno było wyprawić się za granicę. Przede wszystkim ciężko było wyjechać indywidualnie. Rodzinny wyjazd na tzw. Zachód, który był marzeniem większości ludzi, wymagał paszportu, a władza ludowa niechętnie go wydawała. Zwykle dawali paszport tylko jednej osobie, zwłaszcza, jeżeli ktoś miał rodzinę za granicą, bo istniała obawa, że nie wróci. Jadąc do krajów bloku socjalistycznego, dostawało się tylko wkładkę paszportową i o to było łatwiej. Prościej można się było dostać na wycieczki. To były raczej wyłącznie wycieczki zorganizowane: orbisowskie, juwenturowskie i te z „Almaturu”. Pamiętam wyjątkowy tzw. „pociąg przyjaźni” do ZSRR, w którym przemycono całą belę rekwirowanego zwykle na granicy radzieckiej pluszu, do którego przypięto szpileczkami wycięte z kartonu litery, ułożone w długie hasło propagandowe: „Pust zdrastwujet družba mieźdu polskimi i sowieckimi studentami”.

Wyjazdy zagraniczne były dostępne przede wszystkim dla działaczy różnych organizacji studenckich, ale w sumie każdy student, który był na wycieczkę zakwalifikowany, dostawał paszport – chyba że czymś wcześniej władzy podpadł. Najczęściej odwiedzało się wprawdzie „demoludy”, ale w latach siedemdziesiątych zdołałem zawitać do Francji, Belgii i Monako. I to było takie przeżycie, jakbym zwiedził kosmos. Pojechałem w bardzo kolorowej koszulce, a oni się dziwili, że w Polsce mogłem taką kupić. Mieli wyobrażenie, właściwie niewiele odbiegające od rzeczywistości, że u nas wszystko jest szare. Na Zachodzie wszystko było zdecydowanie lepsze jakościowo, lepsze marki i fasony, u nas w zasadzie niedostępne.

W późniejszym okresie organizowałem też dużo krajowych imprez typu wypoczynkowego, wśród których dominowały weekendowe wyjazdy do zajazdów pod strzechą, wybudowanych w Wielkopolsce z okazji tysiąclecia państwa.

Niektóre jeszcze działają. Dziś mają się kiepsko, ale wtedy oferowały ładny wystrój, bogate wyposażenie oraz bardzo dobrą kuchnię. Wyjeżdżaliśmy raz, dwa razy w miesiącu, robiąc tam majówki, andrzejki, grzybobrania i inne imprezy turystyczno-sportowo-rozrywkowe.

PRZYGODA Z WYMIANĄ

Miałem dwóch przyjaciół w Jugosławii: jeden był szefem Zrzeszenia Studentów, a drugi był szefem Studenckiego Serwisu, czyli tamtejszej studenckiej spółdzielni (później ten pierwszy został prezesem banku Jugobanka, a drugi Ministrem). W oparciu o te kontakty organizowałem tak zwane bezdewizowe „wymiany”. Dwudziestu jugosłowiańskich studentów przyjeżdżało do nas i najpierw przez dwa tygodnie pracowali w spółdzielni „Akademik”, przez kolejne dwa zwiedzali Polskę. A ja brałem dwudziestu studentów z Polski i załatwiałem im taki sam pobyt w Jugosławii. Dziesięć osób było z Politechniki, która się najbardziej udzielała w spółdzielni, a drugą połowę grupy stanowili studenci z innych uczelni. I to było tylko za cenę niedrogiego biletu na przejazd pociągiem!

My u nich pracowaliśmy tydzień w wytwórni soków i piwa, a tydzień w zakładzie produkującym nawozy sztuczne. Obie fabryki znajdowały się w Mariborze na terenie dzisiejszej Słowenii. Istotą tego wyjazdu było zapracowanie na tygodniowy wypoczynek nad morzem. To były piękne dni: morze, upały, bajeczne jugosłowiańskie widoki, kolory, to był dla nas wielki świat. Luksus i wolność. Spaliśmy w namiotach, jedliśmy skromnie, ale czuliśmy się wybrańcami losu. Jedna z naszych dziewczyn wystąpiła w tzw. bananowej spódnicy w wyborach miss sezonu, zajmując wysokie drugie miejsce. Biedaczka nie mogła sięgnąć po tytuł, chociaż była z niej niezła laska, ponieważ nagrodę za pierwsze miejsce stanowił pobyt w Makarskiej w kolejnym roku. A to byłoby niemożliwe politycznie i logistycznie.

KULTURA NA CO DZIEŃ

Krzewiliśmy też w spółdzielni kulturę, głównie poprzez wyjścia do opery, do teatrów, na występy estradowe. Sami również organizowaliśmy różnego rodzaju imprezy. Propagowałem ideę spółdzielczości, choćby przez studencki radiowęzeł Studia FiD czy konkursy wiedzy w ramach różnych imprez, np. rajdów, juwenaliów. Każdy starał się swoją działkę: czy turystyczną, czy spółdzielczą, czy inną, jak najlepiej propagować i rozwijać. Wówczas takie działania były

dość powszechne. Częściowo wynikało to z faktu, że nie było takiej wielości propozycji, jakie mamy dzisiaj. Młodzi ludzie mają obecnie, jak sądzę, raczej kłopot z nadmiarem możliwości, niż z ich brakiem.

Później, po rozpoczęciu pracy w uczelni, kontynuowałem działalność społeczną. Młodego asystenta wybrano do prezydium rady zakładowej ZNP WSE (Związek Nauczycielstwa Polskiego – przed Solidarnością był to jedyny związek zawodowy nauczycieli). Jako młody pracownik naukowy organizowałem masę wydarzeń: od imprez kulturalnych, sportowych, przez inauguracje Roku Akademickiego, po obchody Dnia Nauczyciela, Dnia Dziecka czy Dnia Kobiet.

Działalność rozrywkowa była intensywna. Dość często zapraszałem młodego wtedy Zenka Laskowika, który dopiero rozpoczynał karierę, prowadząc kabaret studencki, jeszcze przed Tey'em. Na spotkaniach z publicznością w auli występowały Jadwiga Barańska, Iga Cembrzyńska i inni fantastyczni aktorzy. Do tego miały miejsce w uczelni gwiazdki, bale karnawałowe i sylwestrowe. Imprezy musiały być tak skalkulowane, że złotówki na tym się nie zarabiało, wszystko robiło się społecznie.

Gościliśmy też znamienitych lektorów radiowych, np. prowadzących „Muzykę i Aktualności” – Malinę Zasadzińską i Jerzego Rosołowskiego. Wtedy to była chyba najbardziej popularna w Polsce audycja słowno-muzyczna, ponadto prowadzili świetne programy reportażowe i dyskusyjne o tematyce społecznej, kulturalnej i obyczajowej. Najchętniej jednak, poza Wolną Europą i Polskim Radiem, słuchaliśmy radia Luxemburg. Osobną historią było Radio Erewań, które było symbolem wykorzystywanym do tworzenia dowcipów o tematyce politycznej, parodiujących metody propagandy komunistycznej i oznaczało niezrzetelne informacje dziennikarskie, w których tylko drobna część wiadomości była prawdziwa.

MŁODOŚĆ GÓRY PRZENIESIE

Wszystkie te organizacje stwarzały mi szansę na realizowanie aspiracji i pasji. I w „Almaturze”, i w studenckiej spółdzielni „Akademik”, i w ZNP w uczelni, a także w AKT (Akademicki Klub Turystyczny) spotykałem ludzi o podobnych zapatrywaniach. Lubiłem to robić, wychodziło mi, więc odczuwałem satysfakcję. Miałem kalendarz wypełniony terminami spotkań właściwie od rana do nocy i nie mogłem się bez niego ruszyć. Bywały i takie wyjazdy, które pilotowałem przez tydzień i w czasie np. takiego Rejsu Czarnomorskiego spałem chyba tylko ze dwie godziny. Codziennie imprezy, spotkania z kapitanem i wyjazdy

na zwiedzanie poszczególnych miast. Czasem sam się zastanawiam, jak ja to wszystko godziłem. Ale młodość góry przenosi...

BYŁ TAKI MARZEC

Szczerze mówiąc nie byliśmy w pełni świadomi znaczenia walki z systemem. Nie do końca rozumiałem, o co chodzi. Byliśmy odcięci od prawdziwych informacji, od tego, co działo się w stolicy, ale gdy trzeba było, działaliśmy solidarnie. Pamiętam wydarzenia marcowe, a szczególnie spotkanie na placu Mickiewicza o godzinie 15. Dokładnej daty nie pamiętam, ale było to kulminacyjne spotkanie studentów podczas wydarzeń marcowych. W 1968 roku milicja goniła nas aż do akademików na Dożynkowej. Po drodze do pokojów zabraliśmy cegły, ułożone w tak zwane „kozy”, przygotowane do remontu akademika „F”. Z trzeciego piętra zdemolowaliśmy cegłami oraz butelkami około 30 samochodów milicyjnych, które manifestowały swą siłę, przejeżdżając pod prąd ulicą okalającą znajdujące się na tym osiedlu akademiki.

I to było jedno z wydarzeń, które zapamiętałem dokładnie. Uczestniczyłem też w paru spotkaniach z pracownikami uczelni w auli WSE, w tym z, tym najbardziej przyjaznym studentom, profesorem Zbigniewem Zakrzewskim. Jednak moje działania koncentrowały się na aktywności stricte społecznej na rzecz ludzi.

EMIGRACJA? W ŻADNYM RAZIE

Mimo intensywnego życia (a może właśnie dzięki temu?), spotkałem wspaniałą żonę, mam dzieci i świetną rodzinę. I zastanawiałem się wtedy, czy Polska to najlepsze miejsce dla nas – ustrój nieciekawym, warunki gospodarcze kiepskie. Posiadałem wielu przyjaciół w Niemczech, mnóstwo kontaktów i wtedy, gdy całą rodziną byliśmy tam samochodem, rozważałem emigrację. Mogliśmy sprzedać mieszkanie i zostać. Znałem dobrze niemiecki, co ułatwiało sprawę. Ale dla mnie ojczyzna jest tam, gdzie się dobrze czuję, gdzie są nawiązania do dzieciństwa, do różnych ważnych przeżyć, całe to nagromadzenie i interpretacja różnych wydarzeń.

Jednak najważniejszym powodem powrotu do kraju była lojalność. Przed wyjazdem zostałem wybrany w uczelni Prodziekanem ds. Studentów Wydziału Towaroznawstwa. Miałem objąć funkcję, którą powierzyli mi w pierwszym demokratycznym głosowaniu wszyscy pracownicy naukowcy, pracownicy naukowo-techniczni i studenci. To był 1980 rok, a ja miałem wtedy zaledwie 32 lata

i zostałem wybrany. W tamtym okresie to było dość niezwykle, bo młody doktor właściwie nie miał szansy znaleźć się wcześniej we władzach; zawsze stanowisko dziekana piastował uznany profesor starej daty. I skoro to mnie ci wszyscy ludzie wybrali, skoro mi zaufali, to czułem się zobowiązany. Nie mogłem ich zawieść. To był dla mnie główny argument, może nie racjonalny, ale emocjonalny. Z uczelnią byłem bardzo związany, bo tu studiowałem, tu pracowałem, tu działałem w wielu obszarach.

PASJO, TRWAJ!

Gdy kraj stał się wolny, nadal pracowałem jako pilot wycieczek. To była zawsze moja pasja. Wciąż byłem związany z uczelnią, aż do roku 1994. Wtedy miałem już przygotowaną pracę habilitacyjną, której założenia prezentowałem na Radzie Wydziału, gdzie została pomyślnie przyjęta. Jednak w 1994 roku wygrałem konkurs na dyrektora generalnego znanego międzynarodowego koncernu Grundfos i zdecydowałem się przejść do dużego biznesu. Doświadczenie sporego kalibru. Zostałem pierwszym i jedynym dyrektorem tego koncernu na kraj postkomunistyczny, wzbudzając wielkie zainteresowanie naszym krajem, jego przemianami, perspektywami, a także przeszłością zwłaszcza kolegów z USA, Japonii, Australii i Emiratów Arabskich. W kolejnych latach byłem dyrektorem poznańskiego oddziału w niemieckim koncernie Buderus. W późniejszych czasach pracowałem jeszcze w uczelni na część etatu.

Teraz jestem już od paru lat na rencie, nie mam zajęć w uczelni, więc żyję głównie pilotowaniem wycieczek zagranicznych, dość dużo jeżdżę po kraju i poza granicami. Najczęściej są to wyspecjalizowane wycieczki: Indie i Nepal. Nie wspominałem, że jako młody naukowiec wyjechałem na rok do Indii w ramach stypendium naukowego. Uczelnia, do której trafiłem, Indian Institute of Technology, znajduje się w Kharagpur, oddalonym około 80 km od Kalkuty, i należy pod względem naukowym do światowej czołówki. Było to wyjątkowe doświadczenie, ale to już inna opowieść. W każdym razie zaowocowało to publikacją naukową, przyjaźniami i bardziej pogłębioną znajomością kraju, ludzi, obyczajów, religii. Sentyment i pasja powodują, że bywam tam często i goszczę u nas moich znajomych z Indii.

Pilotuję też wycieczki do Hiszpanii, Chorwacji, Francji, Włoch, Austrii i Niemiec. Byłem w wielu krajach afrykańskich, a także w USA i na Hawajach. Każda podróż to są wspomnienia właściwie na zawsze, a podróżowanie uważam za jedną z najlepszych życiowych inwestycji w siebie. I tak oto turystyka, rozpoczęta

samodzielnym wyjazdem do technikum, rozwijana w czasie studiów, przerodziła się w hobby, a potem zawód wykonywany z pasją aż do dzisiaj.

KONTINUUM

Ciekawość świata i otwartość na ludzi obserwuję także u moich dzieci. Mam nadzieję, że ich zainteresowania rozwinęły się również dzięki obserwacji mojego aktywnego, pełnego pasji życia. Młodsza córka wyjechała do Anglii, a potem do Irlandii i tam realizuje się w obszarze sztuki. Studiuje w Dublinie fotografię artystyczną, realizuje pierwsze teledyski, pokazuje swoje projekty fotograficzne, a w wakacje samodzielnie buja po świecie: Indie, Nepal, Meksyk, Kuba, USA. Ona bez problemu wyobraża sobie życie w innym kraju. Kibicujemy też z żoną aktywności naszej starszej córki i jej przyjaciół. Skontaktowali się z pewną instytucją, od której uzyskują namiary na konkretne rodziny, których potrzeby próbują później, choć w części, zaspokoić. Naprawdę fantastycznie się organizują i pomagają. Te dzieci przed świętami piszą listy, wyjawiając w nich swoje marzenia, a córka i jej znajomi zbierają fundusze i spełniają te, najczęściej materialne, życzenia. To nie jest organizacja, a prywatna inicjatywa. I tego typu działalność popieram z całego serca.

Rozwijanie świadomości społecznej jest niezbędne, bo są wielkie nierówności, wynikające przede wszystkim z biedy i trzeba rozwijać wrażliwość na tę biedę, uczyć, jak jej przeciwdziałać. Autorzy przewodników często sugerują, żeby nie reagować na prośby żebrzących, bo nas wykorzystują, a my pogłębia-
my ich życiową niezaradność. Jednak wśród miejscowych pomaganie ubogim i bezdomnym jest naturalne. I w buddyzmie, i w islamie propaguje się postawę współczucia i miłosierdzia: to normalne, że jak masz więcej, to się dzielisz. Gdyby ci najbiedniejsi nic nie dostawali, to naprawdę nie mieliby z czego żyć, bo pracy dla nich brak. Przecież biedak ze slumsów ma nikłą szansę się z nich wydostać. Warto mieć serce i oczy otwarte na ludzkie potrzeby, bo najbardziej zabija obojętność.

Opowiadał: *Ryszard Jasiński*

Wysłuchały: *Agnieszka Rogaczewska-Foryś* i *Barbara Jasińska*
Spisała i zredagowała z pomocą bohatera opowieści i jego żony:

Agnieszka Rogaczewska-Foryś

AGNIESZKA

NIEUNIKNIONY POWRÓT

Urodziłam się w Poznaniu w 1974 roku, ale nie dorastałam tam, bo rodzice przeprowadzili się do Czarnkowa, gdzie mama zdecydowała się odpracować stypendium naukowe. Proza życia – to właśnie na prowincji oprócz stanowiska w banku na młode małżeństwo czekało też mieszkanie służbowe, wtedy prawdziwy rarytas. M3 w bloku – wszędzie pawlacze, nadstawki, lodówka na stole w kuchni, a pralka pod blatem, ale choć to PRL, dobrze wspominam dzieciństwo. Szwendaliśmy się z koleżeństwem po okolicy – wtedy dzieci nagminnie bawiły się puszczone samopas i to było fantastyczne – odprawialiśmy rytuały zakopywania pudełek z marzeniami i wyczynialiśmy szalone akrobacje na trzepaku.

Do dziś pamiętam zapach klatki schodowej pomieszany z piwnicznymi woniami przejrzałych ziemniaków i suszącego się prania. Roztkliwiam się, ilekroć czuję choć jego namiastkę. I jeszcze cotygodniowy targ z jarmarkiem, a tam cudenka: joja w postaci wypchanych trocinami piłek na gumce, owinięte różnokolorowymi sreberkami, plastikowe ptaszki, które ćwierkały po napełnieniu ich wodą, pistolety na kapiszony i regulowane pierścionki. Mieliśmy też amfiteatr w parku – raz występowałam tam po samej Eleni!, pomnik z prawdziwym czołgiem – dla dziecka nieistotne, że poświęcony bohaterom Armii Radzieckiej, i skocznię narciarską. Jednak w duszy zazdrościłam trochę kuzynce, że ma w Poznaniu do dyspozycji tramwaje, ogród botaniczny i szkołę muzyczną. Podczas wakacji u babci emigrację rekompensowały poranki w kinie „Miniaturka” oraz wypadu do ZOO i Palmiarni.

Znalazłam swoją przestrzeń w małym miasteczku: chłonełam wiedzę, udzielałam się towarzysko, a także realizowałam się artystycznie na szkolnych apelach i uroczystościach, w dziecięcym zespole „Skowronki” i poprzez uczestnictwo w konkursach piosenki. Nie mając świadomości, że generał Świerczewski niekoniecznie jest bohaterem, bardzo przeżywałam wykonywaną piosenkę o patronie szkoły, który się kulom nie kłaniał. Aktorskie interpretacje rozbudziły nawet pragnienie zdawania do szkoły teatralnej, jednak we właściwym momencie stchórzyłam. Do tego naturalnie sport: biegi przełajowe i siatkówka, która nie obrzydła nawet, gdy złamałam po kolei trzy palce prawej ręki.

Mój tata śpiewał i grał na gitarze w miejskim zespole rozrywkowym „Kantyleny”, więc droga muzyczna – zabawne – była mi po prostu pisana. W liceum, w duecie z koleżanką Adą wykonałyśmy piosenkę, która znalazła się na okolicznościowej kasecie magnetofonowej, wydanej z okazji 800-lecia otrzymania

przez Czarnków praw miejskich. Dla mnie to był sukces, że hej! W liceum pokochałam Stare Dobre Małżeństwo. W harcerstwie zloty, rajdy, zimowiska, a w wakacje śpiewanie przy ognisku i jeżdżenie na festiwalach bluesowe: Piława, Zakrzewo, Brodnica. Pamiętnik z wierszami i migawkami z życia nastolatki dokumentuje, jak gitara i pióro znaczyły mój los i relacje międzyludzkie.

I kochałam działanie. Od zawsze przewodnicząca klasy. W podstawówce grupowa na koloniach i dowódca grupy dzieciaków z mego bloku w potyczkach z bandą Sinoradzkiego z sąsiedniego podwórka. W ósmej klasie zachłysnęłam się Oazą i wylądowałam na rekolekcjach w Laskach. Los dzielnych niewidomych dzieci bardzo mnie poruszył. Po powrocie zorganizowałam zbiórkę pieniędzy na rzecz ośrodka. Z kolegami chodziliśmy od sklepu do sklepu, prosząc o datki. Mało kto odmawiał. To było budujące przeżycie.

Poznań był oczywistym wyborem, gdy nadszedł czas myślenia o studiach. Marzyłam o powrocie. Do tego czekało mieszkanie po babci, a w mieście żyła najbliższa rodzina. Niestety miałam kłopot z określeniem swoich preferencji – jako przykładna uczennica, dobra ze wszystkich przedmiotów, nie miałam żadnego szczególnego „konika”. Świetnie mówiłam po niemiecku, bo uczyłam się go już od podstawówki od genialnego profesora Kochańskiego, więc naturalnym wyborem była filologia germańska. Poszłabym w ślady babci Heli, która uczyła niemieckiego na Akademii Ekonomicznej, czym zachwycony byłby tata. Ale mama namawiała na studiowanie ekonomii, jak ona. Przekonywała, że języków przecież mogę się uczyć dodatkowo, a po ścisłym kierunku będę miała większy kapitał wiedzy i szersze możliwości pracy zawodowej. Nie potrafiłam wybrać, więc zdawałam na oba kierunki, mając nadzieję, że los zdecyduje. Tymczasem zostałam przyjęta i tu, i tu.

STUDIA UKIERUNKOWUJĄ

Ostatecznie wybrałam Zarządzanie i Marketing na Akademii Ekonomicznej. Rok 1993, początek kapitalizmu. Ekonomia to był wtedy modny kierunek, nie było łatwo się na nią dostać i ją ukończyć. Ponadto poznańska uczelnia miała silne związki z praktyką gospodarczą, więc wybór dawał nadzieję na zdobycie rzeczywiście solidnego wykształcenia i zapewnienie sobie dobrego zawodu. To nie była tylko czysta wiedza podręcznikowa, czuliśmy, że dotykamy rzeczywistości biznesowej.

Nauka była jak dla mnie, humanistki, w niektórych aspektach bardzo trudna i nużąca, na przykład rachunkowość finansowa z wymagającą Aldoną Kamelą

Sowińską (piastującą później funkcję ministra skarbu państwa) śniła mi się po nocach jeszcze przez długie lata. Ale były też ciekawsze grupy przedmiotów, jak administrowanie zasobami ludzkimi, psychologia zarządzania czy komunikacja i negocjacje. Trafiłam na seminarium do profesora Kazimierza Rogozińskiego i pisałam pracę z marketingu usług, to już było coś mi bliższego – nie tylko produkt, statystyka, cyferki. Mogłam poszukać człowieka w tym całym biznesie i rozwinąć się w warstwie słownej.

Nie należałam do żadnej organizacji, miałam tylko krótką przyjaźń z organizacją studencką AIESEC, zrzeszającą ludzi z całego świata. Przeprowadzali świetne ćwiczenia, pozwalające zdobyć wiedzę, jak pracować w zespole, jak zarządzać projektem. Uczyli też odpowiedzialności społecznej. Nie zaangażowałam się bardzo, ale nawiązałam ciekawe kontakty. Do tego byłam starościną grupy, dzięki czemu mogłam organizować lub inicjować różne działania.

Jako przedstawicielka uczących się, znalazłam się w uczelnianej Radzie Wydziału. To było oszałamiające przeżycie – miałam prawo w imieniu studentów wyrażać opinie na temat różnych zamierzeń na rzecz uczelni, włącznie z tym, kiedy egzaminy, jak długa sesja itp. Siedziałam obok tych wszystkich doktorów, docentów i profesorów, którzy mnie uczyli, więc na początku czułam się onieśmielona. Miałam kompleks osoby z małego miasteczka, ale z czasem nabrałam odwagi i realny wpływ na życie studenckie stał się źródłem radości i satysfakcji. I jeszcze organizacja balu absolutoryjnego w Adrii: klimat dancingu dodawał nam dorosłości, jak naiwnie sądziliśmy.

NAUKA I ZABAWA – A MOŻE ODWROTNIE?

Na studiach głównie ze znajomymi imprezowaliśmy. Raczej byłam odbiorcą kultury niż ją współtworzyłam. Ważnym elementem było kino – czasami urywaliśmy się z zajęć i robiliśmy sobie maraton filmowy, jeszcze wtedy istniało kino Bałtyk. A bawiliśmy się w tych klubach, które znają ze swoich czasów moi rozmówcy, Państwo Jasińscy – Nurt, Piekłoraj, Cicibór. I Trops, bo mieszkałam na Ratajach, więc miałam blisko klubu AWF. Nie tylko szalone tańce, ale też spotkania z prawdziwą sztuką. Nie zapomnę koncertu Marka Grechuty, momentami zapominałam oddychać z wrażenia. A Magda Umer na żywo? Czysta poezja!

Skupiałam się też mocno na nauce, mimo że mnie to średnio interesowało, ale jako „solidna firma” miałam niezłe oceny i skończyłam Akademię Ekonomiczną z wynikiem dobrym. Do dziś lubię doprowadzać podjęte działania do

końca nawet, jeśli nie są one źródłem rozkoszy. Z ważnych dla mnie wydarzeń: na studiach spotkałam swojego kochanego męża, z którym jestem do dziś. Co za szczęście, że był ambitny i wybrał Poznań (a pochodził spod Łodzi), bo chciał studiować ekonomię na wysokim poziomie. Miałam też okazję uściskać dłonie majestatycznej Margaret Thatcher. Więc warto było się użerać z rachunkowością zarządczą czy historią myśli ekonomicznej.

W tamtych czasach ruszyła pierwsza Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Zachwyciło mnie to pospolite ruszenie. Studenci, którzy nie mają przecież zwykle wolnych funduszy, a nagle w porywie serca zapełniali puszki. Zdawałoby się, że ludzie wówczas byli skoncentrowani na własnym życiu, wolni od chorego systemu, zachłystnięci możliwością zarabiania pieniędzy. Na uczelnianych korytarzach spotykało się wielu studentów pierwszego roku, którzy nosili czarny płaszcz i aktówkę, zgrywając biznesmenów, choć ledwie zaczęli naukę. Wielka Orkiestra okazała się sukcesem i bardzo zmieniła moje myślenie. Sama jeszcze nic nie robiłam charytatywnie, ale jakieś nasionko zasiało się w głowie i w sercu.

POZNAŃSKA DROGA DOPIERO SIĘ ZACZYNA

To, że zostajemy z Tomkiem w Poznaniu było bezsporne. I okazało się, że dopiero po studiach miało miejsce prawdziwe zakorzenienie i uczestnictwo w życiu miasta. Zaraz po obronie zaczęłam z entuzjazmem rozsyłać CV – przecież ukończyłam prestiżową uczelnię, zapewniano nas, że pracodawcy nie mogą się nas doczekać. Tymczasem dopiero po trzech frustrujących miesiącach poszukiwań zaufała mi dyrektorka niedużej agencji reklamowej. Okazało się, że moja wiedza jest jednak dość teoretyczna i musiałam się sporo nauczyć, na własnych błędach oczywiście. Całkiem dobrze się wtedy zarabiał, zwłaszcza w reklamie. Panowało przekonanie, że działania marketingowe i promocyjne to taka wielka przygoda, zabawa, za którą w dodatku świetnie płać. Praca faktycznie wymagała kreatywności, więc było interesująco, ale nie lekko, wciąż na najwyższych obrotach, bez taryfy ulgowej, nawet gdy brakowało weny. Po kilku latach przeszłam do agencji Zero,2. Firma dopiero startowała, więc mogłam wykazać się umiejętnościami organizacyjnymi. Formułowaliśmy misję, tworzyliśmy zasady i budowaliśmy zespół profesjonalistów, bardzo zgrany, trafili się sami fantastyczni ludzie. Po jakimś czasie zaczęłam odczuwać jednak jakiś niedosyt, tęsknotę za czymś więcej. Odkryłam, że strasznie brakuje mi śpiewania.

Na studiach jakoś się nie odnalazłam artystycznie. Był chór Akademii Ekonomicznej, co mnie w ogóle nie pociągało. Wolałam raczej śpiewanie przy

gitarze, ewentualnie na głosy w harmonii. Czasy szkolne obfitowały przecież w działania związane ze sztuką: deklamowałam, prowadziłam imprezy (apele, studniówka), wykonywałam piosenki. Raz się nawet z koleżanką otarliśmy o koncert „Śpiewajmy poezję” na zamku w Olsztynie, ale niestety nie przeszłyśmy etapu makroregionalnego. W repertuarze oczywiście Stachura i Leśmian. A w dorosłości doszło do tego, że swojego głosu wstydziłam się nawet pod prysznicem, przed samą sobą.

Nieprzypadkowo, jak dziś sędzę, przeczytałam w „Zwierciadle” o światowej sławy sopranistce Oldze Szwajgier, która rozszerzyła sobie skalę głosu z trzech do sześciu oktaw (Whitney miała tylko pięć) ćwiczeniami własnego autorstwa. Stworzyła unikatową metodę, opierającą się na przekonaniu, że całe nasze ciało, w tym krtań i struny głosowe to doskonały instrument muzyczny. W tamtym artykule pisała o wyrażaniu siebie, o tym, żeby się nie wstydzić tego, co i jak się artykułuje. Tłumaczyła, że dźwięk opiera się o oddech i wibrację, które są w nas od urodzenia, więc każdy umie go wydawać naturalnie. I że śpiewanie może uzdrawiać i duszę, i ciało poprzez aktywizację centrów energetycznych w naszym ciele.

I jak zwykle dała o sobie znać moja pasja organizatorska. Dlaczego mam jechać do Krakowa na te warsztaty? To sporo kosztuje i tylko ja skorzystam. Moje koleżanki po lekturze tekstu też chciały wziąć udział, więc namówiłam Olę na przyjazd do Poznania. Pracowaliśmy nad poznaniem własnych możliwości głosowych i nad świadomym brzmieniem głosu. Szukaliśmy też swej indywidualności i osobistych form ekspresji poprzez dźwięk. Robiliśmy głupie miny przed lustrem i mruczeliśmy, leżąc na podłodze. Fenomenalne przeżycie! Finalnie nie zwiększyłam skali głosu, bo to najzwyczajniej niemożliwe w kilka dni, ale odblokowałam gardło, a co ważniejsze – emocje. A Olga jest naprawdę niesamowita, śpiewa na granicy słyszalności. Takie dźwięki wydawała z siebie, jak jakiś nieziemski instrument. Do tego to wspaniałe poczucie humoru i pogodne usposobienie. Do dziś uśmiecham się do niej w myślach, gdy wspominamy te zajęcia z innymi uczestnikami jako przełomowe i naprawdę wyjątkowe.

SZUKANIE POTENCJAŁU

Przy okazji odkryłam też, że aranżacja zajęć sprawia mi frajdę. Zaprosiłam więc do miasta kolejny autorytet – Jacka Ostaszewskiego. To ceniony muzyk, wieloletni lider grupy „Osjan” i, tak jak Olga, wykładowca Państwowej Wyższej

Szkoły Teatralnej w Krakowie. Chciałam poznać jego rewolucyjną metodę pracy z rytmem, harmonią i melodyką „Droga dźwięku, droga ciszy”. On też traktował ciało jak instrument muzyczny. Przekonał mnie, że umysł poprzez zajęcia z rytmem uruchamia kreatywność i wyobraźnię, a dzięki pracy z dźwiękiem pozwala przezwycięzać lęki związane z niską oceną swoich możliwości. To były świetne zajęcia wykorzystujące medytację w ruchu. Niecodzienne przeżycie pogłębiające muzyczną wrażliwość, uważność na drugiego człowieka i intuicję w podejmowaniu decyzji. Polecam udział w warsztacie Jacka każdemu, kto poszukuje równowagi ciała i umysłu oraz chciałby lepiej komunikować się w grupie, no i oczywiście tym, dla których głos jest narzędziem pracy.

Wśród uczestników spotkałam Basię Wilińską, która później zaoferowała mi udział w spotkaniach zespołu pieśni tradycyjnych, jaki prowadziła. Na studiach, owszem, jeździłam na folkowe festiwale, zwłaszcza do pobliskiego Krotoszyna, ale żebym ja śpiewała folk? Czy to polubię, a przede wszystkim, czy będę umiała? Biłam się z myślami, ale nie widziałam innej drogi, a bardzo chciałam się rozwijać muzycznie. Pokonawszy strach, znalazłam nie tylko radość w śpiewaniu a capella słowiańskich utworów, ale też odkryłam wspólnotę wspaniałych kobiet. W wielogłosie jest siła, która dodaje niezwyklej mocy nie tylko śpiewającym, ale też, jak się okazuje, słuchaczom. Widzowie często po koncertach podchodzą i dziękują nam, bo dotarła do nich dobra energia i poruszyła ich serca. Nazwałyśmy nasz zespół „Czarolija”, co po serbsku oznacza „zakęcie”, bo staramy się zaczarowywać głosem rzeczywistość.

Moja dalsza historia pokaże, że życie obdarowuje mnie wciąż i wciąż nowymi możliwościami. Jakieś wydarzenie, spotkany człowiek, przeczytana książka prowadzą mnie do kolejnego odkrycia, a każde mnie wzbogaca i, kto wie, może w końcu odnajdę swoje powołanie?

POMAGAJĄC, DOSTAJĘ

Od małego byłam czuła na czyjąś krzywdę i lubiałam podejmować konkretne działania naprawcze, więc podstawowa motywacja do pomocy innym była we mnie od zawsze. Zaczęłam poszukiwać możliwości sprawdzenia się w obszarze wolontariatu. Czasy były sprzyjające – zaczęły działać liczne fundacje, robiło się coraz głośniejsze o społeczeństwie obywatelskim. Te społecznikowskie postawy mogły się manifestować, zaistniały w mediach. Dostęp do informacji był zupełnie inny, swobodny wręcz. Po dwóch latach mojej pracy wszedł do użycia Internet, nagle świat informacji stanął otworem.

I przeczytałam na jakimś portalu o Fundacji MAM MARZENIE. Pomyślałam: „Zobaczymy, pójdę tam i sprawdzę, czy się nadaję”. Jak się okazało, poznański przyczółek był dopiero w powijakach, wolontariuszy raptem kilka osób, liczyła się każda para rąk. Miałam przyjemność uczestniczyć w tworzeniu oddziału, wymyślaliśmy struktury, sposoby pozyskiwania sponsorów, werbowaliśmy kolejnych wolontariuszy, ustalaliśmy procedury. Fundacja zajmuje się dziećmi chorymi na raka, mukowiscydozę czy zanik mięśni, generalnie cierpiącymi na choroby zagrażające życiu. Poprzez spełnianie marzeń, dzieciaki dostają sporo dobrej energii pomocnej w walce z chorobą i mają szansę umacniać wiarę, że wszystko jest możliwe.

Przeszłam szkolenie na wolontariusza i spróbowałam zostać też opiekunem marzenia, czyli jeździć do dzieci i rozpoznawać, jakie mają marzenie i potem różnymi możliwymi środkami, z pomocą innych wolontariuszy, dążyć do spełnienia. Marzenia bywały przeróżne, na przykład osobista modowa sesja zdjęciowa czy wyjazd na mecz do Barcelony i uściśnięcie dłoni Ronaldinho. Jedna moja podopieczna pragnęła choć raz poczuć się jak księżniczka i to się stało: dostała przepiękną suknię szytą na miarę przez krawcową wielkiego talentu i serca oraz zdobny diadem. Ale zdarzały się i tak prozaiczne marzenia jak pomalowanie pokoju czy zakup ładnych zeszytów, bo rodziców nie było na to stać. Jak te dzieci się cieszą, jak potrafią być wdzięczne – to jest nie do opisania! W tej pracy społecznicy doznają naprawdę wielkiej mocy wzruszeń, dających sercu poczucie szczęścia i spełnienia.

Niezbyt dobrze radziłam sobie jednak psychicznie w bezpośrednim kontakcie z tak cierpiącymi dziećmi. To musi być ktoś, kto ma tyle energii i pozytywnego myślenia, że jeszcze się tym z dzieckiem podzieli, a ja tam wchodziłam i ledwo powstrzymywałam drżenie głosu i łzy. Nawet, gdy marzenie spełniał Maciej Pol i wokół wszystko pachniało magią, to ja wciąż widziałam chorego chłopca, który z wrażenia ma problemy z oddychaniem. To bardzo trudna praca. Do tego dwie moje marzycielki zmarły i ciężko mi było się po tym pozbierać. Za dużo mnie to kosztowało, wróciłam zatem do prac typu organizacyjnego: prowadziłam spotkania, tworzyłam raporty, nadzorowałam bazy marzycieli i ofiarodawców, pisywałam o fundacji do sponsorów i mediów.

W fundacji spotkałam samych wyjątkowych ludzi, którzy niezależnie od metryki, zawodu i życiorysu potrafili pochylić się nad losem bardziej potrzebujących i oddać im kawałek siebie. Wspaniała Alina Chojnacka, dyrektorka „Marcinka”, udostępniająca nam klasy na fundacyjne spotkania, będący absolutną

opoką Tomek Moczerniuk z żoną Alą, zagadka kardiologów – nosząca serce na dłoni prezes Ewa Stolarska oraz porywający nas równie silnie, co swoich aktorów, Lech Chojnacki. Do tego absolutnie przecudowni Hania, Jola, Wiesia, Karolina, Robert, „Czarny”, Grzesiu, Maciej, Sylwia i Michał. Pracowałam tam trzy lata, a później nasze drogi się rozeszły. FMM już sobie świetnie radziła, z jednego procenta dostawała sporo darowizn, procedury pozwalały sprawnie funkcjonować. Wykruszyła się częściowo stara ekipa, a ja, mając wtedy gorszy okres w życiu, straciłam parę do takiego społecznikostwa intensywnego i przerzuciłam się na prywatną, mniejszą formę pomocy. Nie szukałam tej nowej działalności, to ona mnie znalazła.

TARG DOBRYCH LUDZI

Gdy korespondencja mailowa stała się codziennym narzędziem pracy, co chwilę ktoś znajomy do mnie pisał z prośbą o pomoc. Na przykład: „Słuchaj, właścicielka mi wymówiła mieszkanie, nie znasz kogoś, kto chce wynająć?”. Albo: „Mój wujek ma operację, potrzebna pilnie krew 0 Rh-”. Jako, że jestem dosyć operatywną osobą, to często znajdowałam sposób rozwiązania problemu: pisałam lub dzwoniłam do różnych znajomych i nadawałam sprawom bieg, pośrednicząc. Ale zdarzały się też wiadomości oferujące pracę czy darmową pomoc rzeczową. Zaczęłam się w to wszystko angażować i stwierdziłam, że za dużo czasu mi to zajmuje. Wymyśliłam sobie, że zapytam moich klientów, podwykonawców, wolontariuszy z FMM i znajomych, czy zgodzą się wziąć udział w takiej wymianie informacji. Mało kto zaprotestował. W sumie to trochę było nieładnie z mojej strony, bo ciężko się przecież przyznać, że się nie ma siły, czasu czy najzwyczajniej ochoty na pomoc, ale byłam zdania, że najwyżej taka osoba skasuje maila albo doda mój adres do zablokowanych nadawców. I tak oto w 2003 roku w bazie Targu Dobrych Ludzi – znanym jako TDL – znalazło się 300 osób.

TDL wykorzystuje Internet do załatwiania konkretnych spraw w realnym życiu. Od strony technicznej to prosty biuletyn w wersji elektronicznej, zawierający ogłoszenia zebrane w ciągu dwóch–trzech tygodni, rozsyłany do adresatów listy mailingowej (dziś to już ponad 700 osób). Dzięki temu, że członkowie listy przesyłają newsletter dalej, w krótkim czasie informacje obiegają Poznań i okolice. Najczęściej chodzi o znalezienie lub zaoferowanie pracy, poszukanie mieszkania czy uzyskanie pomocy materialnej lub finansowej, ale są też rekomendacje ciekawych bezpłatnych warsztatów lub akcji charytatywnych. Ludzie polecają też sobie ważne inicjatywy, sprawdzonych lekarzy czy wydarzenia artystyczne.

Informacje, których nie jestem pewna, sprawdzam, a tych od bliskich przyjaciół nie muszę, „idą” w oryginalnym brzmieniu.

O skuteczności Targu świadczą zresztą załatwione sprawy. Udało się na przykład zdobyć lodówkę dla Rodzinnego Domu Dziecka w Swarzędzu, umeblować mieszkanie podarowane przez miasto po pożarze baraków, zgromadzić brakujące pieniądze na operację serca dla Huberta, wielu ludzi znalazło pracę lub pracownika, a sporo zwierząt zyskało prawdziwy dom. Pomagamy też rodzinom zastępczym i adopcyjnym.

To niesamowite, że to już tyle lat, a ludziom ciągle się chce. Przecież nikt o tym nie wie, to nie dla poklasku. Gdy otrzymuję informację zwrotną o sukcesie, to się cieszę jak szalona. Np. gdy po moim apelu udało się zebrać kwotę wystarczającą na zakup węgla na cały sezon grzewczy dla pewnej samotnej matki. Aż sama poczułam to ciepło, jakiego jej rodzina mogła doświadczyć. Przy tej okazji wspomnę o tym, że nieustannie mnie zadziwia, jaki świat jest malutki, a już Poznań na pewno. Taka anegdota. Na mojej ulicy spotkałam koleżankę z młodych lat. I gawędzimy sobie, ja wspominam o pewnym kłopotcie, a ona na to: „Wyślij prośbę na TDL, na pewno uzyskasz pomoc!”. To się śmieję, że przecież TDL tworzę ja sama. I Marta zdziwiona, bo nie rozpoznała mnie w mailingach z uwagi na nazwisko po mężu.

BYĆ TWÓRCĄ NA CO DZIEŃ

Dopiero teraz zaczynam realizować zahibernowane na czas studiów tęsknoty i potrzeby. Ku mojej wielkiej radości stało się tak, że mogę uczestniczyć w tworzeniu poznańskiej kultury. Co więcej – obecnie udaje mi się łączyć działalność społeczną z artystyczną. Co najważniejsze: regularnie śpiewam i to białym głosem. Z zespołem „Czarolija” dzielimy się radością śpiewania, dając bezpłatne koncerty okolicznościowe w Klubach Seniora, dla pacjentów szpitali, z okazji Dnia Wikliny czy w Szkole Waldorfskiej. Ale są i występy nieco stresujące, ale mocno rozwojowe, mobilizujące do dodatkowej pracy, np. na otwarciu Międzynarodowego Biennale w Muzeum Narodowym, podczas Dni Ukrainy, na festiwalu kultur wschodu MIMOKI czy w ramach Tygodnia Opowiadania Opowieści, organizowanego przez Evę Rufo.

Ten ostatni projekt skierował mą uwagę w kierunku sztuki opowiadania. Na mapie marzeń wkleiłam dwa lata temu zdjęcie Muzeum Bajek, Baśni i Opowieści (wycięte, jakżeby inaczej, ze „Zwierciadła”), bo chciałam nauczyć się opowiadać historie. I dzięki Asi z Pracowni SztukaPuka zyskałam możliwość

uczestniczenia w 2011 roku w projekcie „Opowiadacze świata”. Wykorzystał on przekaz ustny do tego, aby otwierać nieskończony świat wyobraźni, uczuć i doświadczeń u dzieci i młodzieży. Pobrawszy nauki od znakomitych bajarzy z „Grupy Studnia O”, przygotowałam i zaprezentowałam opowieść, inspirującą do działań artystycznych przed warsztatami plastycznymi dla dzieci. W wakacje opowiadaliśmy z kolei dzieciom w Parku Sołackim. Ależ to było doświadczenie!

Opowiadanie to zupełnie inna energia niż czytanie bajek czy odgrywanie roli. Mam porównanie, bo doświadczyłam też uczestnictwa w teatrze. Przez rok byłam odtwórczynią podwójnej roli w spektaklu „Jesteś wyjątkowy” Teatru Droga. Graliśmy w przedszkolach, w salach katechetycznych, domach kultury. Była radość i poczucie przekazywania ważnych wartości. Dziecięca publiczność jest niesamowita! Wrażliwa i szczerą. Teraz ośmielam się też próbować sił w improwizacjach kabaretowych. To już taki etap, że zamiast się stresować, gdy zjawiają się kłopoty, wołam się z nich i z siebie pośmiać. „Śmiechu mi trzeba na te dziwne czasy, śmiechu zdrowego jak źródłana woda (...)”. Kabaret Małże zaproponował mi comiesięczne granie podczas Klubowych Spotkań Kabaretowych „KLUSKA” w ramach grupy impro „ZRÓBMY TO!”. I mam kolejną przygodę.

A tak generalnie, to życie pokazało mi, że i gdy malujesz, i gdy gotujesz zupę, a nawet gdy sporządzasz tabelę w Excellu – możesz być twórcą. Każda dziedzina stwarza szansę na kreatywność.

RÓB, CO KOCHASZ

Ktoś powiedział: „Rób to, co kochasz, a nie będziesz musiał pracować”. Marzyłam, by moje pasje przeniknęły też do życia zawodowego. I nadeszła sposobność. Założyłam własną firmę POMYSŁOWO – bo tak staram się żyć i pracować. Siostra projektuje, a ja coraz mniej jestem managerem, a coraz bardziej tekściarzem. Ostatnio miałam stworzyć nazwę gry dla dzieci. To przecież wspaniałe, bo nie dość, że robię to, co lubię, czyli wymyślam i bawię się słowem, to jeszcze dostaję za to pieniądze. Zamiast żałować, że nie poszłam na dziennikarstwo czy polonistykę, redaguję w pracy teksty dla klientów, uczestniczę w kursach twórczego pisania i dbam o poetycką urodę życzeń dla bliskich osób. I zdarza się już, że jak piszę limeryki, to się dzielę nimi ze znajomymi, a nie tylko wrzucam do szuflady.

Ponadto organizuję cały czas warsztaty wokalne dla innych ludzi. Od kilku lat dwa–trzy razy w roku zapraszam wspaniałą trenerkę i rehabilitantkę gło-

su, moją mistrzynię – Sonię Lachowolską (także z Krakowa, kolejny „zbieg okoliczności”). Ponieważ mi samej praca z nią bardzo pomogła, i to nie tylko wokalnie. Fakt, że zwiększyłam skalę głosu i jego moc, to jedno, bo drugie jest chyba ważniejsze: zyskałam cenną świadomość, że mogę śpiewać (i co z tego, że nie zawodowo?). Przestałam się wstydzić uzewnętrzniać emocje, umiem wyrażać siebie. I to samo obserwuję u innych uczestników: niektórzy odnajdują zagubione możliwości, poszerzają skalę, inni poprawiają jakość emisji, a jeszcze inni po prostu zaczynają pewniej mówić. To wspaniałe patrzeć, jak ludzie rozkwitają, płaczą ze wzruszenia i rzucają się Soni na szyję z radości, że potrafi im pomóc. Sekret jest taki, że Sonia nie stosuje jednego wzorca, tylko dostosowuje ćwiczenia do indywidualnej kondycji głosu ucznia, a że do tego jest świetnym pedagogiem – sukces jest nieunikniony.

ODKRYWANIE ŚWIATA, POZNAWANIE SIEBIE

Na studiach nie miałam wielkich możliwości podróżowania. Gdy dzięki ciężkiej pracy zaczęliśmy mieć na to fundusze, to za namową męża, ja – zwolenniczka tego, co dobrze znam, czyli wierna fanka Bałtyku i Karkonoszy – zaczęłam jeździć na wakacje w dalekie kraje: Wenezuela, Argentyna, Tajlandia. Na początku raz pojechaliśmy z wycieczką i nie pasowało nam, że wszystko jest tak szczegółowo zaplanowane. Od tamtej pory podróżujemy sami. Gdy się nam gdzieś podoba, to zostajemy dłużej niż zamierzaliśmy, tylko po to żeby się posnuć po ulicach. W krajach Afryki mogłam godzinami siedzieć albo snuć się po okolicy, obserwując tamtejsze życie, ludzi, zwierzęta, wszystko było ciekawe. Każdy człowiek, sytuacja, zwyczaj był interesujący.

Zasadniczo przekonałam się, że poznawanie innych kultur i punktów widzenia kruszy sztywne ramy myślenia i pozwala pełniej akceptować różnorodność ludzkich zachowań oraz daje odwagę, by sięgać po niestandardowe rozwiązania. Każda podróż to przygoda, ale i wyzwanie: pokonywanie własnych słabości i uprzedzeń.

DOBROCZYNNOŚĆ ZWYCZAJNA

Jeszcze wrócę do pracy społecznej. Przekonanie, że wybieramy swój los, nawet ciężki, żeby się rozwijać, do dziś mnie szokuje. Spotykałam się z takimi postawami, podróżując. Oczywiście lepiej dawać narzędzia niż środki do życia, ale czasem sytuacja jest tak beznadziejna, że trzeba działać doraźnie. Zgadza się, że gdy ktoś dostaje wsparcie codziennie, to nie zrobi kroku po to, żeby swój los

polepszyć, żeby zdobyć umiejętności lepszego radzenia sobie w życiu. Ale trzeba zaspokoić podstawowe potrzeby, by myśleć o tych wyższych. A niektórzy nie mają na to najmniejszej szansy w pojedynkę.

Oglądałam szokujący dokument „Ciesz się biedą”. Holenderski dziennikarz, Renzo Martens, odsłania w nim kulisy działań organizacji humanitarnych (w tym ONZ), udowadniając, że w interesie tych instytucji leży podtrzymywanie biedy w krajach Afryki. Jeśli to prawda, to umacnia tylko moją wiarę w działania lokalne. Potrzebna jest zwykła, codzienna, niezbyt obciążająca praca. Dlatego prowadzę Targ Dobrych Ludzi, bo wykorzystuję najlepiej mój potencjał i pomagam osobom z najbliższego otoczenia. Cieszy mnie, że w szkole uczą postaw społecznikowskich. Dzięki akcjom typu zbieranie nakrętek na jakiś konkretny cel dzieciaki rozbudzają w sobie wrażliwość na dolę drugiego człowieka. Mała korekta postrzegania potrafi wywołać zmianę zachowania człowieka. A gdy się te pozytywne zmiany jednostkowe skumulują, świat ma szansę stać się bardziej przyjazny dla każdego.

WYRAZY WDZIĘCZNOŚCI

Projekt SiO to cenne przeżycie. Spotkałam wyjątkowych, twórczych i pełnych pasji ludzi i mogłam poznać ich arcyciekawe życiorysy. Pani Barbara tak przekonująco opowiadała o Ińskim Lecie Filmowym, że rozbudziła wielką ciekawość i zamierzam w tym roku tam zawitać. Pan Ryszard z kolei zainspirował mnie do częstszego podróżowania. Mimo rozbieżności w numerze PESEL odkryłam wiele wspólnego. To było bardzo ciekawe doświadczenie, piękna wymiana, co dodatkowo zainspirowało mnie do podsumowań własnych dokonań i do rozmów z rodzicami na temat ich młodości w Poznaniu. Z całego serca dziękuję moim rozmówcom i organizatorom akcji.

Na koniec przytoczę fragment wypowiedzi Wojciecha Eichelbergera (chyba nie muszę dodawać, w jakim czasopiśmie wywiad był publikowany... ale uwierzcie proszę, czytam też inne magazyny niż „Zwierciadło”):

(...) ludzki mózg (...) rozwija swoje wyższe funkcje w kontakcie ze słowem pisanim lub zapamiętując długie i złożone werbalne przekazy, czyli słuchając opowieści i rozmawiając.

Opowiadała, spisała i zredagowała: *Agnieszka Rogaczewska-Foryś*
Wysłuchali: *Barbara i Ryszard Jasińscy*